

## Jeszcze o żółtych kwiatach

Daremnie szukam błyskotliwie sporządzonego opisu symetrycznego uproszczenia: narracji, która przemilcza lub skrajnie marginalizuje postawy polskiej pomocy i/lub solidarności, pozostawiając w świetle reflektorów dwa pozostałe elementy triady: obojętność oraz współludział – pisze Wojciech Stanisławski w nowym felietonie z cyklu „Barwy kampanii”.

O słoniach ciężko jest nie pisać, tak samo jak o niedźwiedziach czy wielorybach, bo one po prostu narzucają się swoją objętością i wagą. Rrryms! – i trzaskają palisady, chwieją się regały. Jak zanotowała kalifornijska poetka Joanne Kyger (w przekładzie Czesława Miłosza):

*Przede wszystkim, czy pamiętacie, jak niedźwiedź wchodzi  
do domku w górach, kiedy nie ma tam nikogo?  
Przez drzwi frontowe. Dosłownie p r z e z. Następnie  
zdziera szafkę ze ściany i zjada puszkę smalcu..*

To niedźwiedź, a ze słoniami jest jeszcze gorzej. Na przykład w Rzymie są dwa marmurowe słonie, jeden znany wszystkim, Berniniego, przed Santa Maria sopra Minerva i drugi, rarytasik dłuta Giovanniego da Udine, popiersie, jeśli tak można rzec w przypadku słonia, ulubionego zwierzęcia ogrodowego papieża Leona X, słońiatka zwanego Annone, czyli Hańcia. Hańcia domowa, można by powiedzieć. Tylko dwa – a na ustach wszystkich.

Więc taki niedźwiedź, albo słoń, wchodzi do domku w górach albo do sklepu z porcelaną i wymachuje łapami albo trąbą: *puszki z zupą szparagową / leca rrrrm! na podłogę. Pożera norweskie sucharki / odłożone na zimę. I kostki bulionu, sól, pieprz, / paprykę, czosnek, cebulę, kartofle*. Trochę, bo głodny, trochę, bo zły, a trochę, bo jest słoniem albo niedźwiedziem i nie umie inaczej, taką ma cielesność. I szkód potrafi narobić, z właściwym słoniom brakiem gracji rozwała mury, tnie dotacje, a potem jest lament i wyliczanie wszystkich puszek z zupą szparagową, z tym że zamiast przymiotnika „szparagowy” w licznych listach otwartych najczęściej pada przymiotnik „haniebny”.

Ja jednak uparcie nie chcę pisać o słoniach ani niedźwiedziach, tym bardziej, im bardziej jestem do tego namawiany. Uparcie chcę za to pisać o żółtych kwiatach, chociaż tegoroczne można już powoli zasuszyć, a przyszłoroczne rozkwitną dopiero w połowie kwietnia. Wydaje mi się bowiem, że w tle tegorocznych bukietów żonkili i walk słoni pojawiła się pewna nieoczywistość, pewien twist. Perspektywa poślizgu, jak na wiosennym błocie w górach lub jesiennych liściach, które sprawić mogą, że podążymy nie tam, gdzie byśmy chcieli.

Piszę o tym, myśląc o polskiej pamięci powstania w getcie warszawskim. Pamięci nieoczywistej, przez lata niemal nieistniejącej. Nieistniejącej także dlatego – są to prawdziwie dialektyczne sploty – że narzucanej decyzjami władz komunistycznych, ale nie tylko dlatego. Także przez obojętność, także przez „porządek opłakiwania”, także przez poczucie winy, jakie rodzi bezradność, a czasem poczucie winy, jakie rodzi nieczyste sumienie. Zasupłane to było straszliwie, zresztą władze, myślę, też zdawały sobie sprawę, że nie tędy droga, że stawianie pomnika jednym powstańcom, a aresztowanie lub w najlepszym razie przemilczanie drugich to nie jest dobry pomysł na zyskanie popularności, ale było już za późno, logika represji i

sojuszy popychała je do dalszych działań w tym kierunku, niczym pociski w sprężynowym magazynku makarowa. Kolejne zwroty – Marzec, „Solidarność” – dokładały supłów i zacierały żywą pamięć Zagłady, cukrowały ją do obowiązkowego akapitu, obojętnie przebieganego wzrokiem.

I ponad tymi wszystkimi supłami, wielością gier politycznych, uszczypliwości, urazów i obsesji pojawiła się – wyrosła, chciałoby się powiedzieć – akcja Żonkile. To był i jest dla mnie fenomen: Persefona powraca do Demeter, żonkile wyrastają spod ziemi, w świecie pamięci coraz bardziej plemienniejących, wrywanych sobie, osobnych, pamięć kwietnia 1943 staje się częścią warszawskiej (i nie tylko warszawskiej) pamięci. Oczywiście, mógłby zareplikować dyżurny sceptyk: to pamięć uproszczona i ucukrowana, pamięć laurkowa. Tak, zgoda. Ale przechodnie, biegnący do węzła przesiadkowego na placu Bankowym, nie zatrzymują się, żeby przeczytać od deski do deski rocznik „Zagłada Żydów. Studia i Materiały” wydawany przez IFiS PAN. Zatrzymują się, żeby wziąć z czyjejś ręki żółtą tekturkę, podważyć nawoskowany papierek i przykleić lepki *stickers* do kurtki czy paska plecaka. I to jest cholernie dużo. „Niemal wszyscy przechodnie przyjmowali żółte »gwiazkile« chętnie i z uśmiechem – notuje warszawski historyk sztuki, rozdający od kilku lat tekturki w okolicach Grubej Kaśki. I zgadzam się z nim: wspaniale. Niewiele znam we współczesnym świecie przykładów takiego dobrowolnego, spontanicznego, a przede wszystkim masowego, nie ograniczonego do szczupłych elit artystycznych czy naukowych, r o z s z e r z e n i a pamięci.

Ale też zgadzam się z obawą przed pamięcią uproszczoną – i przed dwoma różnymi postaciami tego uproszczenia.

*Niewiele znam we współczesnym  
świecie przykładów takiego  
dobrowolnego  
rozszerzenia pamięci*

U źródeł obu z nich  
stoi przemilczenie  
(wyciszenie) jednego z  
trzech elementów  
straszliwej triady,  
opisującej polskie  
postawy wobec

Zagłady: pomoc, bezsilność/obojętność i współudział. Oczywiście, fatalnie upraszczam, już na poziomie najprostszej charakterystyki postaw dałoby się ich pewnie wymienić więcej, a niekończąca się debata rozpoczyna się w chwili rozmowy o uwarunkowaniach tych trzech postaw; co dopiero mówić o liczbach, o proporcjach, o gajach drzew dla Sprawiedliwych i powojennych procesach szmalcowników, lepiej nie mówić, dalej jest noc. Sądzę jednak, że można zgodzić się co do tego elementarnego trójpodziału postaw i fałszywości takich narracji, które przemilczałyby jedną z trzech.

Narrację samozachwytu, przemilczającą szmalcowników lub skrajnie ich marginalizującą owszem, można nieraz usłyszeć. Jest to jednak, jak wiele jej podobnych, narracja nieporadna, kulawa, żywiąca się tęsknotą za prostym obrazem świata. Można przypuszczać, że wygaśnie w ciągu pokolenia. Już teraz zresztą poddawana jest monitoringowi na pograniczu wiwisekcji: prof. UAM Piotr Forycki, od lat popularyzuje koncepcję „defensywnego negacjonizmu Zagłady” Michaela Shafira i w tych kategoriach postrzega polską „fałszywą pamięć”, z sarkazmem pisząc (np. w „Krytyce Politycznej” z października ub. roku) iż „problem współudziału Polaków w Zagładzie przybrał chłopską twarz, a w zasadzie prymitywną gębę. Został umiejscowiony na polskiej wsi i w zapadłych kątach, z dala od bielonych dworków, uniwersytetów, redakcji poczytnych gazet, ludzi łagodnych i dobrych”.

No tak. Daremnie jednak szukam równie błyskotliwie sporządzonego opisu symetrycznego uproszczenia: narracji, która przemilcza lub skrajnie marginalizuje postawy polskiej pomocy i/lub solidarności, pozostawiając w świetle reflektorów dwa pozostałe elementy triady: bezsilność/obojętność oraz współudział. A przecież taka narracja, nie na poziomie artykułów monograficznych w „Studiach i Materiałach”, lecz opowieści publicystycznych, popularyzatorskich, memowych – a to z tych cegiełek budowana jest masowa świadomość historyczna – również istnieje.

I taki kształt narracji, taki format opowieści, w której symboliczni Ulmowie są pomijani lub w najlepszym razie kwitowani niechętnym skinieniem głową, „no dobrze, Ulmowie i Żegota, słyszeliśmy to sto razy, ale...” – nie jest czymś nieistniejącym. Albo wypadkiem przy pracy, niezgrabnym stąpieniem w składzie porcelany, zdaniem wypowiedzianym do łakomego mikrofonu w ferworze audycji, emocji, świadomości istnienia również niezyczliwych słuchaczy. Taka narracja, której rdzeniem jest wskazanie na szeroki, jeśli nie powszechny współudział Polaków w Zagładzie, rośnie – może nie jak żonkile, raczej jak sumak: niezmordowanie. Można się na nią natknąć co i raz.

Zdarzyło mi się kilka tygodni temu uczestniczyć w prezentacji graficznych świadectw Zagłady w jednej z polskich placówek kulturalnych. Na otwarciu wystawy stawiało się kilkudziesięciu cudzoziemców, życzliwych Polsce i jej ciekawych, ale niekoniecznie znających wszystkie supły, napięcia i rzeczywistość naszych straszliwych dekad.

Zabierająca głos polska krytyczka pokazała między innymi – rzutnik szwankował, ale reprodukcje były wyraźne – zbiór szkiców polskiego plastyka sporządzonych olejnymi pastelami, przedstawiających żydowskie dzieci,

przemycające żywność przez mur getta. To jedno z tych rysunków, które trudno się ogląda, taka Dorothea Lang malowana tłustą kredką na brystolu. Oczy, opuchnięte stawy wychudzonych przedramion i nóg, bezradność, o którą można się skaleczyć – to się zapamiętuje. Ale krytyczka, poprawiwszy okulary, zwróciła się do słuchaczy w te słowa: „Dziewczynka zmarła. Czy [rysownik] ją wyda? Czy nie? Z tą ambiwalencją pragnę Państwa pozostawić”.

Taka to, proszę Państwa, ambiwalencja (krytyczki używają wyszukanego języka). I ja też pozostaję z ambiwalencją. Jak ocalić sens akcji Żonkile, która, przypomnę, nosi podtytuł „Łączy nas pamięć”? Jak sprawić, żeby wraz z żółtą tekturką nie przyklejać sobie do kurtki całej narracji, która czyni Polaków wyłącznie obojętnymi lub współwinnymi, która pomija wymiar solidarności, bezradności i wspólnoty losów?

Nie wiem – chociaż taka konstatacja to potwornie nieefektywne zakończenie felietonu.

*Wojciech Stanisławski*

*Przeczytaj inne felietony z cyklu „Barwy kampanii”*

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego  
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego

---